JUTRO WĘGIERSKA REPUBLIKA LUDOWA OBCHODZI

SREBRNY JUBILEUSZ

W ŻYCIU KAŻDEGO narodu są momenty ważne, przełomowe. Takim momentem na Węgrzech było przed 25 laty wyzwolenie kraju spod faszystowskiej okupacji przez wojska radzieckie. Ćwierć wieku temu naród węgierski rozpoczynał nową kartę swojej 1000-letniej historii. Były to lata trudne i bohaterskie. Biedny i zacofany kraj trzeba było dźwignąć z wojennych zniszczeń. Na całej długości Dunaju płynącego w granicach Węgier hitlerowcy zburzyli wszystkie mosty, a gospodarka uległa zniszczeniu w 40 procentach.

Dziś, po 25 latach, Węgrzy mogą być dumni ze swoich osiągnięć — stworzyli kraj uprzemysłowiony, nowoczesny. W dniu ich Srebrnego Jubileuszu życzyny naszym przyjaciołom znad Dunaju wielu nowych sukcesów.

Na str. 4—5 przeczytaj korespondencję własną z Wę[illegible].

Świat Młodych
GAZETA HARCERSKA

Nr 27 (1915) 3 kwietnia 1970 r. Cena 50 gr

OSTATNI BÓJ GENERAŁA »WALTERA«

Gen. bryg. Aleksander Cesarski — naoczny świadek tragicznej śmierci Karola Świerczewskiego-Waltera.

28 marca minęła dwudziesta trzecia rocznica śmierci gen. broni Karola Swierczewskiego, legendarnego „Waltera" z okresu walk w Hiszpanii, dowódcy 2 Armii Wojska Polskiego w czasie II wojny światowej, wiceministra Obrony Narodowej w Polsce Ludowej.

Wspomnieniami z ostatniego boju generała Świerczewskiego dzieli się dziś z czytelnikami „Swiata Młodych" obecny ZASTĘPCA GŁOWNEGO INSPEKTORA OBRONY TERYTORIALNEJ, SZEF INSPEKTORATU POWSZECHNEJ SAMOOBRONY — GEN. BRYG. ALEKSANDER CESARSKI.

POSIADAŁEM wówczas stopień kapitana — opowiada generał Cesarski — i pracowałem w sztabie 8 Dywizji Piechoty. Dywizja nasza stacjonowała w Krośnie i wraz z innymi jednostkami WP zwalczała działające na tym terenie faszystowskie bandy ukraińskie UPA oraz bandy polskiego, reakcyjnego podziemia. Były to w tamtym czasie tereny bardzo niespokojne.

W końcu marca dowiedzieliśmy się w sztabie, że w najbliższych dniach przyjedzie do nas na inspekcję wiceminister Obrony Narodowej, gen. broni Karol Świerczewski. Znaliśmy go wszyscy bardzo dobrze i kochaliśmy jak ojca; był bowiem w czasie wojny dowódcą 2 Armii, w skład której wchodziła 8 DP.

C.d. na str. 3

POMÓŻCIE BOĆKOM!

BOCIANY WRACAJĄ z ciepłych krajów pod koniec marca. Te, które do nas już przyleciały, natrafiły, zwłaszcza na północy i wschodzie kraju, na bardzo trudne warunki. Zamarznięte rzeczki i stawy, ośnieżone pola, nocne przymrozki — wszystko to sprawia, że pożyteczne, objęte ochroną boćki nie mogą znaleźć pożywienia i grozi im głodowa śmierć.

Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami apeluje do społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży szkolnej w sprawie udzielania pomocy powracającym ptakom — żeby mogły przetrwać ciężki dla nich okres spóźnionej wiosny. Chodzi zwłaszcza o zorganizowanie stałej akcji dokarmiania. Boćki nie są wybredne: chętnie żywią się odpadkami mięsnymi, rybami itp.

Foto CAF

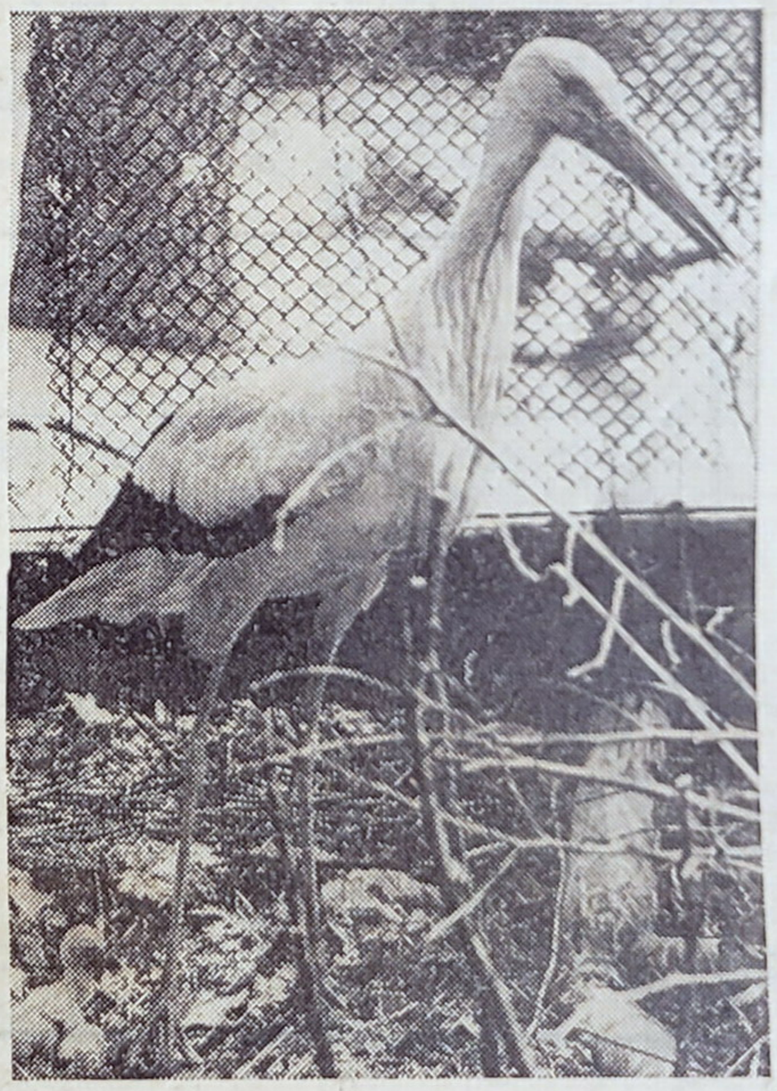

KONKURS: KARTA QSL

KTO Z WAS chce wziąć udział w tym konkursie (jest to konkurs indywidualny), musi przez najbliższych kilkanaście dni zabawić się w nasłuchowca. Począwszy od dzisiaj, tzn. od 3 kwietnia aż do 15 kwietnia, trzeba słuchać codziennie „Godziny dla Dziewcząt i Chłopców" nadawanej od 15.05 do 16.00 w programie I Polskiego Radia. Musicie nasłuchiwać, kiedy zostaną nadane specjalne audycje poświęcone W. I. Leninowi. Każda z nich zostanie poprzedzona specjalnym sygnałem muzycznym. Będzie to kilka taktów popularnej „Kalinki". Gdy tylko usłyszycie melodię „Kalinki", trzeba szybko spojrzeć na zegarek, ponieważ jedno z zadań konkursu polega na zanotowaniu dokładnej godziny i minuty nadania audycji. Oczywiście ważne jest, aby zegarki, z których korzystacie, były dokładnie naregulowane według radia.

Po każdej audycji zostanie zadane wam szyfrem pytanie związane z jej treścią. Musicie najpierw rozszyfrować je a potem zastanowić się nad odpowiedzią. Dopiero wtedy wypełniacie swoje karty QSL, które należy oddać komisji turniejowej, zanim zostanie rozpoczęty następny nasłuch, czyli przed godziną 15-tą dnia następnego. „Godzina dla Dziewcząt i Chłopców" nie jest nadawana w niedzielę, jeśli więc „złapiecie" audycję w sobotę, kartę QSL oddajecie w poniedziałek do 15-tej.

Za każdą prawidłowo wypełnioną kartę komisja przyznaje uczestnikowi dwa punkty, ale dopiero wtedy, gdy konkurs zostanie zakończony.

Prawidłowe rozwiązania zostaną podane:

* **17 kwietnia w „Świecie Młodych"**

* **18 kwietnia w „Godzinie dla Dziewcząt i Chłopców"**

SZYFR

PYTANIE KONKURSOWE dotyczące treści audycji będzie nadane zawsze specjalnym szyfrem. Aby je zrozumieć trzeba najpierw poznać szyfr i ułożyć sobie klucz do jego odczytania. Jest to tzw. szyfr liczbowy, gdzie każdej literze alfabetu odpowiada jedna określona liczba. W alfabecie, którym będziemy się posługiwali, są 24 litery w następującej kolejności: A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, Ł, M, N, O, P, R, S, T, U, W, Y, Z. Niżej podajemy napisane szyfrem, aktualne w czasie trwania konkursu — hasło, którego rozwiązanie literowe znajdziecie na innej stronie tego numeru gazety. Porównajcie zaszyfrowane hasło z jego rozwiązaniem literowym! Musicie znaleźć odpowiedź na pytanie, jakie liczby odpowiadają tym literom alfabetu, które w haśle nie występowały.

Zauważyliście, że te liczby, które już znacie, ułożone są w pewnej kolejności. W jakiej?

Że wszystkie mają pewną cechę wspólną. Jaka to cecha?

Że jednak nie wszystkie kolejne liczby charakteryzujące się tą cechą są tutaj wymienione. Które zostały pominięte? I one też mają pewną cechę wspólną: są podzielne przez jedną z liczb pierwszych, mniejszą od 10.

A oto hasło: 20, 58, 52, 10, 38, 10, 44, 58, 32, 4. 62, 26, 40, 34, 70, 62, 28, 46, 58. 2, 58, 52, 70, 20, 40, 46.

Uwaga! Odpowiedzi na pytania piszcie normalnymi literami.

TWOJA KARTA QSL

OBOK PODAJEMY wzór karty QSL, którą musisz sobie za każdym razem, gdy „złapiesz" audycję poprzedzoną sygnałem „Kalinki", przerysować.

Uzupełnij swój znak wywoławczy! Litery SP oznaczają radioamatora w Polsce. Cały nasz kraj podzielony jest na 9 okręgów radiowych. Okręg 1 — to województwa: szczecińskie i koszalińskie; 2: — bydgoskie i gdańskie; 3: — poznańskie i zielonogórskie; 4: — białostockie i olsztyńskie; 5: — warszawskie; 6: — opolskie i wrocławskie; 7: — kieleckie i łódzkie; 8: — rzeszowskie i lubelskie; 9: — krakowskie i katowickie. Znajdująca się po literach SP cyfra oznaczać będzie twój okręg radiowy. Do tego momentu postępujemy tak samo jak „prawdziwi" radioamatorzy, dalsze znaki będą już nasze własne, na użytek tego jednego konkursu. Umówmy się, że po cyfrze okręgu nastąpi pierwsza litera nazwy miejscowości, w której mieszkasz, po niej cyfra oznaczająca klasę, a dalej pierwsza litera nazwiska (w nawiasie lepiej podać całe nazwisko, żeby komisja nie miała wątpliwości, do kogo dana karta należy. A więc gdy kartę QSL „wysyła" np. Zbyszek Kowalski, uczeń VII klasy w Piszu, woj olsztyńskie, to jego znak wywoławczy będzie wyglądał następująco: SP4P7K (Kowalski). SP oznacza — Polska, 4 — olsztyńskie, P — Pisz, 7 — kl. VII, K — Kowalski).

Następnie wpisz na karcie następujące dane: data nasłuchu (dzień, miesiąc rok), dokładny czas nasłuchu (godzina i minuty), długość fali radiowej, na której słuchałeś audycji (możesz sprawdzić w gazecie), słyszalność audycji (używamy takiej skali ocen, jak w szkole; a więc: 2 — słyszalność bardzo zła, 3 — słyszalność słaba, 4 — słyszalność dobra, 5 — słyszalność bardzo dobra), twoje położenie geograficzne w czasie nasłuchu (nazwa miejscowości oraz miejsce gdzie słuchałeś radia; w domu, w szkole, u kolegi...), tytuł audycji („godzina dla dziewcząt i chłopców"), odpowiedź na zadane szyfrem pytanie (odpowiedź nie powinna być zaszyfrowana).

QSL

data	godzina	długość fali	słyszalność	położenie geograficzne

tytuł audycji	odpowiedź na pytanie

SP.....

SP5ZA WYJAŚNIA:

Co to jest karta QSL?

SP5ZA to znak wywoławczy pana Antoniego Giedroycia, kierownika radiostacji klubowej Warszawskiego Radioklubu LOK. Z radiem i krótkofalarstwem pan Antoni zetknął się podczas pobytu w wojsku i tak bardzo mu się to spodobało, że po przejściu do cywila zaczął działać jako radioamator. Początkowo pracował jedynie na radiostacji klubowej, ale w końcu 1957 roku otrzymał swój własny znak. Od tej pory znany jest w eterze jako SP5ZA. A o tym jak bardzo jest znany świadczy fakt, że ma na swoim koncie ponad 16 tys. nawiązanych łączności, a w szufladach swojego biurka ponad 10 tys. kart QSL.

— Co to jest karta QSL?

— W międzynarodowym języku krótkofalowców zwanym „kodem Q" (bo każdy znak rozpoczyna się od litery „q"). QSL znaczy po prostu potwierdzenie uzyskania łączności. Gdy dwaj radioamatorzy „spotkają" się w eterze na pamiątkę tego spotkania wymieniają korespondencyjnie swoje karty. Jest to dowodem na to, że łączność została rzeczywiście nawiązana. Oczywiście nie wszyscy wysyłają takie karty, bo nie wszyscy je mają.

— Czy długa jest historia kart QSL?

— Gdy pierwsi radioamatorzy nawiązywali łączność — było to w drugim dziesięcioleciu XX wieku — zaczęli sobie wysyłać pokwitowania. Tak się to zaczęło. Wtedy też karty QSL miały dużo większą wartość niż obecnie, kiedy to łączność nawiązuje się stosunkowo łatwo i „spacery w eterze" po całym świecie nie należą do rzadkości.

— Co zawiera karta QSL?

— Wszystkie możliwe dane o nadawcy. A więc poza jego znakiem wywoławczym, który jest dla każdej radiostacji jedyny i niepowtarzalny (dwie pierwsze litery oznaczają kraj), takie informacje jak: data, godzina, rodzaj i moc odbiornika, częstotliwość słuchania, położenie geograficzne, słyszalność i zrozumiałość odbioru... Poza tym każdy nadawca może zamieścić na swojej karcie QSL to, co chce. Są więc karty ze zdjęciami miast, zabytków, strojów ludowych, portretami sławnych ludzi... Oprócz dowodu nawiązania łączności, karty QSL spełniają zatem dużą rolę popularyzatorską.

— Od kogo dostał pan swoją pierwszą kartę QSL?

— Miałem dużo szczęścia, bo od razu pierwszego dnia, gdy usiadłem przy swoim aparacie, udało mi się nawiązać łączność z JA8AA. Był to Japończyk z Sapporo. Nawet obecnie rzadko się zdarza, aby pierwsza łączność zagraniczna była taka daleka. Od czasu do czasu „spotykamy" się do dzisiaj. Ostatnio „widzieliśmy" się w zeszłym tygodniu.

— Kto to jest nasłuchowiec?

— Tak zwany nasłuch amatorski to jest prostsza odmiana radioamatorstwa. Nasłuchowcy mają jedynie stacje odbiorcze, mogą przysłuchiwać się rozmowom w eterze, ale sami nie biorą w nich udziału, bo nie mają nadajników. Oczywiście do „złapanych" stacji mogą również wysyłać swoje karty QSL.

Rozmawiała:
EWA KŁOSIEWICZ

C.d. ze str. 1

OSTATNI BÓJ GENERAŁA „WALTERA”

Pod jego dowództwem walczyliśmy pod Budziszynem i Dreznem.

27 marca 1947 roku generał Świerczewski w towarzystwie gen. dyw. Prus-Więckowskiego przyleciał samolotem do Krosna. Do wieczora pozostał w sztabie dywizji, na następny dzień zapowiedział inspekcję jednostek w terenie.

Wyjechaliśmy 28 marca wczesnym rankiem. Trasa wiodła przez Sanok, Lesko do Baligrodu, gdzie stacjonowały nasze oddziały. Podjęliśmy wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa. Droga do samego Baligrodu była patrolowana i obsadzona przez naszych żołnierzy. „Walter” w towarzystwie gen. Więckowskiego i dowódcy dywizji płk. Bieleckiego jechał poniemieckim Opiem-Super, my, tzn. pozostali oficerowie wraz z eskortą — z tyłu w dwóch terenowych Dodge'ach.

Dojechaliśmy do Leska. Na powitanie generała wystąpiła kompania honorowa 34 p.p. Chłopcy otrzymali właśnie nowe sorty mundurowe, na głowach mieli garnizonowe : gatywki, co w tamtych czasach należało do rzadkości. Wyglądali imponująco. Generał był bardzo zadowolony i nie szczędził pochwał. W doskonałym humorze przeprowadził odprawę z oficerami pułku, wysłuchał informacji i wniosków dotyczących aktualnej sytuacji w terenie. Reprymendę otrzymali jedynie kucharze za obiad, którego jakość nie wzbudziła zachwytu generała.

Następnie udaliśmy się w dalszą drogę do Baligrodu, gdzie kwaterował jeden z najbardziej wysuniętych na południe batalionów, dowodzony przez kapitana Karczewskiego. Do kolumny dołączyli oficerowie 34 p.p. z dowódcą pułku, ppłk. Janem Gerhardem.

Przy wjeździe do miasteczka chlebem i solą powitał generała Świerczewskiego siwy staruszek — wójt Baligrodu. Wzruszony generał wdał się z nim w serdeczną rozmowę. W trakcie tej pogawędki wójt zapytał generała, czy prawdą jest, że polskie wojsko opuści wkrótce Baligród. Nie krył swego zaniepokojenia, gdyż w takiej sytuacji polska ludność zostałaby zupełnie pozbawiona opieki. Generał zapewnił wójta, że nie tylko wojsko nie opuści miasteczka, ale odwrotnie, w niedługim czasie podjęte zostaną kroki dla zapewnienia pełnego bezpieczeństwa cywilnej ludności tych terenów.

— Najlepszym tego dowodem jest moja obecność w Baligrodzie — dodał na zakończenie.

*

Inspekcja miała się już ku końcowi, gdy Walter zapytał:

— Czy jest to najbardziej na południe wysunięty garnizon?

— Nie, obywatelu generale, są jeszcze WOP-iści w Cisnej — zameldował dowódca batalionu.

— To jedziemy do Cisnej — zadecydował Świerczewski.

Wszyscy jak jeden mąż staraliśmy się bezskutecznie wyperswadować generałowi ten projekt. Nie posiadaliśmy rozpoznania terenu i ruchów band, trasa nie była zabezpieczona.

Generał nie zmienił decyzji. Sytuację pogorszył fakt, że jeden z dwóch przydzielonych z 34 p.p. ZIS-ów z eskortą zepsuł się w Baligrodzie.

„Walter” przesiadł się do Dodge'a, prowadzonego przez sierżanta Strzelczyka, który był jego kierowcą w czasie wojny. Odchodził tego dnia do rezerwy, ale tę drogę postanowił jeszcze odbyć ze „swoim generałem”.

Około godz. 11.00 kolumna jadąca szosą do Cisnej znalazła się na wysokości zalesionego masywu wzgórza Hryszczate. Było to ulubione miejsce zasadzek organizowanych przez „upowców”. Urządzili ich tutaj dziewięć.

Jakby na potwierdzenie tego, ze wzgórza nad szosą po raz dziesiąty odezwały się serie z broni maszynowej.

Generał Świerczewski błyskawicznie ocenił sytuację i wydał rozkaz jazdy pełnym gazem naprzód, aby uciec z pola ostrzału i zniknąć za zakrętem drogi. Ostrzeliwana ze wzgórza kolumna zbliżała się do mostku nad strumieniem przecinającym szosę, gdy z odległości 100 m została rażona czołowym ogniem erkaemu ustawionego przy mostku. Droga była zamknięta.

Generał zatrzymał kolumnę i wyskoczywszy z wozu zaczął organizować obronę. Eskorta w sile 37 żołnierzy z trzema erkaemami ruszyła pod dowództwem ppłk. Gerharda do natarcia na stok wzgórza. Śmiały atak zadziwił „upowców”. Oni to bowiem w sile połączonych sotni „Hrynia” i „Stiacha” zorganizowali zasadzkę.

Było już po naszej stronie paru rannych. Padł ppor. Krysiński, śmiertelną ranę otrzymał sierżant Strzelczyk. Generał stał spokojnie koło samochodu i kierował walką. Nie reagował na błagalne prośby towarzyszących mu oficerów, którzy usiłowali nakłonić go do ukrycia się za samochodem.

W pewnej chwili otrzymał postrzał w brzuch.

— Kapitanie, osłońcie i wyprowadźcie generała spod ognia — krzyknął do mnie płk. Bielecki.

Dobiegłem, gdy druga już kula trafiła go w okolice nerek. Zachwiał się i upadł w kałuży krwi.

Pochwyciłem go na ręce, i na ile starczyło mi sił, zacząłem iść w kierunku przepływającego strumienia. Jego urwisty brzeg mógł dać osłonę. W każdej chwili spodziewając się kuli dotarłem do strumienia i brnąc po pas w lodowatej wodzie przeniosłem generała w osłonięte miejsce. Wyjąłem opatrunek osobisty i założyłem mu na ranę. Niestety, generał konał. Otworzył jeszcze oczy i z wysiłkiem powiedział:

— Nie zostawcie ciała banderowcom.*)

Przezwyciężając skurcz gardła zameldowałem, że będziemy bronić go do końca.

Były to jego ostatnie słowa, po których stracił przytomność i w ciągu piętnastu minut skonał.

Broniliśmy się jeszcze ponad godzinę. Wyczerpywała się już amunicja, gdy nagle od strony Baligrodu usłyszeliśmy dudniący warkot silnika. Usłyszeli go również banderowcy. Ich ogień zaczął słabnąć i po chwili ustał zupełnie. Wycofali się.

Zza zakrętu wyjechał ZIS, ten, który zostawiliśmy w Baligrodzie. Żołnierze usłyszeli odgłosy walki, uruchomili silnik „na pych” i pospieszyli nam z odsieczą. Ponieważ ZIS nie posiadał tłumika i wydawał podczas jazdy potężny huk, banderowcy wzięli go za warkot przybywających na pomoc samochodów pancernych.

Tak zakończył się ostatni bój generała „Waltera” — żołnierza, który się „kulom nie kłaniał”.

Zanotował:

JERZY CZERKAWSKI

Rys. J. Rocki

*) banderowcy — używane wówczas określenie faszystów band ukraińskich, pochodzące od nazwiska przywódcy Stefana Bandery.

W tamtych latach w Bieszczadach

SZCZEGÓLNE zagrożenie dla ludności cywilnej w woj. rzeszowskim stanowiła UPA — Ukraińska Powstańcza Armia. Jej kadry rekrutowały się z ukraińskich faszystów, którzy już podczas okupacji prowadzili walkę z polskimi i radzieckimi oddziałami partyzanckimi, krwawo rozprawiali się z ludnością polską zamieszkującą Bieszczady i tereny zachodniej Ukrainy. Jej szeregi zasilili również ukraińscy faszyści, którzy pełnili służbę w hitlerowskich formacjach, np. w Dywizji SS „Hałyczyna”.

W tym okresie UPA liczyła na terenie Polski ok. 3 tysięcy ludzi. Zorganizowana była na sposób wojskowy i dzieliła się na kurenie odpowiadające batalionom, te z kolei na sotnie — kompanie i czoty — plutony. Jej uzupełnienie stanowiła działająca w podziemiu kilkutysięczna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów.

W rejonie stacjonowania 8 DP działał kureń „Rena”, który składał się z 4 sotni: „Stiacha”, „Hrynia”, „Brodycza” i „Bira”.

Ukraińscy faszyści dokonywali codziennie krwawych mordów na polskiej ludności cywilnej. Terroryzowali też ludność ukraińską, by zapewnić sobie posłuszeństwo, dostawę zaopatrzenia oraz pomoc ze strony mieszkańców wsi i miasteczek.

Walka z tak zorganizowanym i licznym podziemiem była więc trudna, tym bardziej że na terenach woj. rzeszowskiego trzeba było walczyć również z ok. 20 polskimi podziemnymi bandami.

W połowie marca wróciłem z Węgierskiej Republiki Ludowej. Byłem tam (na zaproszenie KISZU-u, węgierskiego związku młodzieży) tylko przez dwa tygodnie. A jednak w tym krótkim czasie zwiedziłem kawał kraju, poznałem dziesiątki ludzi. Byłem w Miszkolcu, mieście zaprzyjaźnionym z Katowicami, zwiedzałem potężne zakłady hutniczo-metalurgiczne w Diosgyöri, widziałem budowę zapory wodnej na Cisie, gdzie pracują m. in. polskie dźwigi-żurawie.

Zwiedzałem również nad Balatonem budowę pięknego miasteczka pionierów, oglądałem spółdzielnie produkcyjne. Wszędzie spotykałem się z niezwykłą gościnnością i sympatią, jaką Węgrzy darzą Polaków od niepamiętnych czasów. A najważniejsze — zrozumiałem, jak wielkiego trzeba było wysiłku, aby z kraju rolniczo-przemysłowego Węgry stały się krajem w pełni nowoczesnym.

KORESPONDENCJA Z WĘGIER

Spotkanie ZNOWOCZESNOŚCIĄ

JEDZIEMY piękną, nowoczesną autostradą prowadzącą z Budapesztu w kierunku węgierskiego „morza", czyli nazywanego tak przez Węgrów Balatonu. Za oknami wozu szybko migają mijane osiedla, ogrody, winnice, sady morelowe... Na polach bieleją jeszcze płaty śniegu. W połowie marca wiosna powinna być już w pełni, ale w tym roku na Węgrzech zima była równie sroga i długa jak u nas.

Po mniej więcej pół godzinie skręcamy z autostrady w boczną drogę. Jeszcze kilka minut i jesteśmy u celu — w wielkim kombinacie petrochemicznym w Szaszholumbotto nad Dunajem.

Chemia — czarodziejka

JEST TO dziwna fabryka. Czujesz się, jakbyś był w jakimś gigantycznym laboratorium zbudowanym pod gołym niebem. Na przestrzeni wielu hektarów wznoszą się w górę potężne wieże destylacyjne, kominy, piece oraz — co laikowi rzuca się najbardziej w oczy — tysiące rur, istny labirynt różnej grubości przewodów. Rury biegną po ziemi, pod ziemią, nad ziemią...

Wielka chemia, symbol nowoczesności, postępu i dobrobytu. Aż się wierzyć nie chce, że w tym wielkim laboratorium — z brunatnej cieczy płynącej w przewodach, człowiek wytwarza nie tylko wysokogatunkową benzynę, smary, oleje, lecz również dziesiątki innych produktów, z których później otrzymujemy niemnące koszule i sztuczne futra...

I to wszystko z ropy naftowej. W jaki sposób to się robi, tego przeciętny człowiek nie zrozumie.

Istvan opowiada o sobie

NIE PRÓBOWAŁEM zrozumieć również i ja, mimo iż mój opiekun, Istvan Vadas, usiłował tłumaczyć mi tajniki chemii-czarodziejki, jak tylko umiał najprościej. Po pół godzinie i on się załamał. Zrozumiał, że ja nic nie zrozumiałem.

— Wiesz co, lepiej opowiedz mi o sobie — zaproponowałem Istvanowi.

— A czy to warto, takich jak ja pracują tu setki, zwykli ludzie — bronił się.

— O to właśnie chodzi. A poza tym mówiłeś mi, że jesteś jednym z pierwszych, którzy zaczynali budowę kombinatu. No więc?...

W milczeniu podeszliśmy do budynku dyspozytorni oddziału uszlachetniania benzyny. Usiedliśmy w słońcu na ławeczce pod ścianą. Wpatrzeni w betonową płytę, na której co kilkanaście metrów stoją

Istvan Vadas, jeden z wielu budowniczych kombinatu, dobrze pamięta pierwsze miesiące, kiedy wokół wsi Szaszholumbotto rozciągały się jedynie puste pola.

KAŻDY JUBILEUSZ jest okazją do pochwalenia się sukcesami. Pozwólcie więc, iż z okazji srebrnego jubileuszu Węgierskiej Republiki Ludowej przedstawię Wam kilka tylko cyfr obrazujących niezwykle szybki rozwój kraju naszych przyjaciół znad Dunaju.

● Wydobycie ropy naftowej wynosiło w 1950 roku 512 tys. ton; obecnie osiągnęło już 1807 tys. ton.

● Produkcja energii elektrycznej osiągnęła w 1950 roku 3001 milionów kilowatogodzin, obecnie aż 13 155 milionów.

Pracą każdego pododdziału kombinatu petrochemicznego kieruje się automatycznie z centralnego ośrodka dyspozycyjnego.

butle przeciwpożarowe, niczym strażacy na warcie.

— Pochodzę z małej wioski — zaczął opowiadać. — Położona jest daleko stąd, na Wielkiej Nizinie. Do czternastego roku nic się w zasadzie w moim życiu nie działo. Ot, po prostu jadłem, rosłem, chodziłem do szkoły, pomagałem przy winnicach. Któregoś roku niedaleko mojej wsi odkryto ropę naftową. We wsi zakotłowało się jak w ulu. O niczym się wtedy nie mówiło tylko o nafcie, o zarobkach. Wielu dorosłych i młodych rzuciło uprawę ziemi i poszło do pracy przy nafcie. Tak zrobił i mój ojciec.

— A ty?

Tak wygląda nowoczesna fabryka-laboratorium. Obecnie kombinat składa się z 8 pododdziałów, a dalsze są w budowie. Na zdjęciu: — potężne wieże destylacyjne.

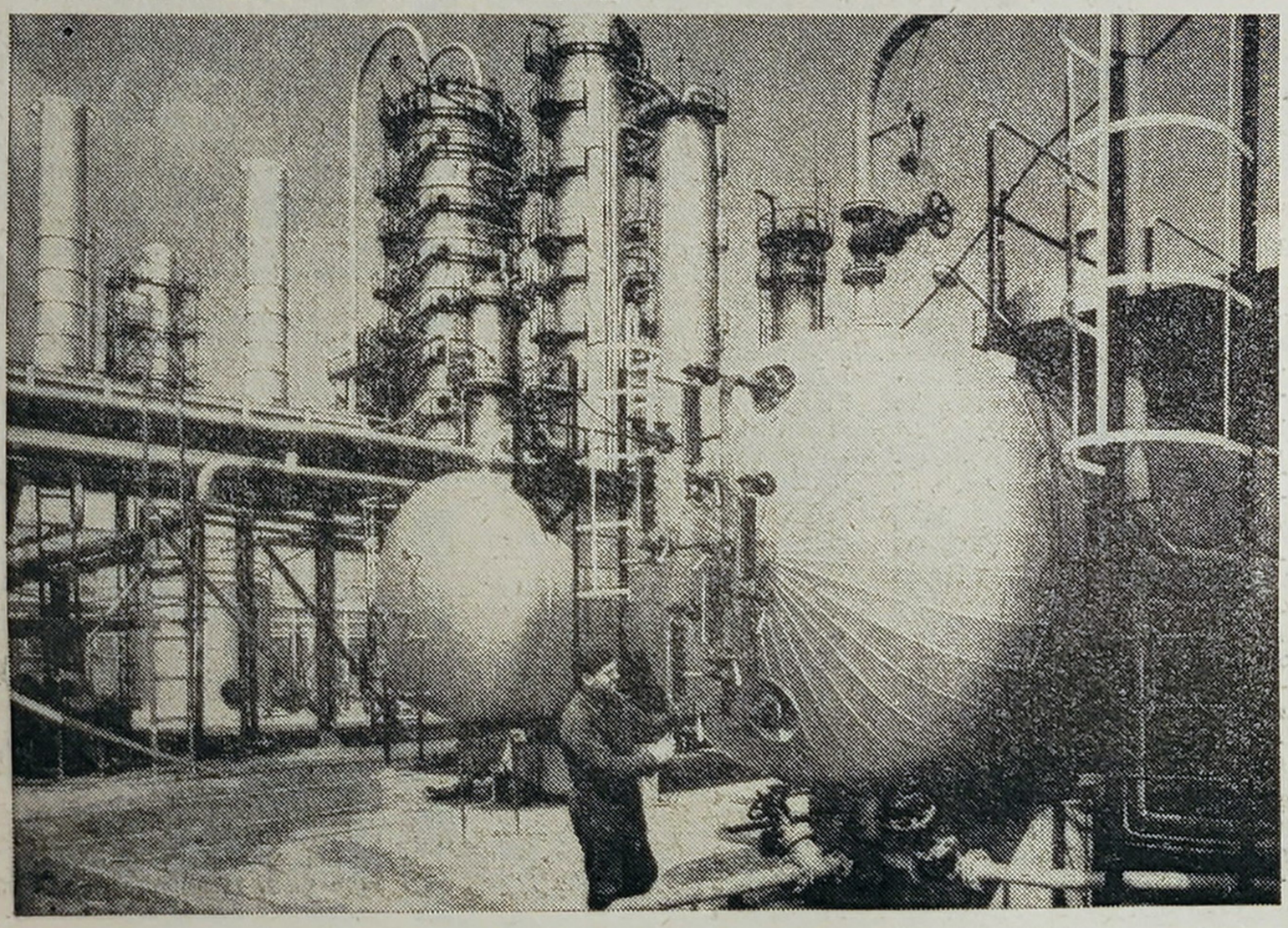

Kombinat w Szaszholumbotto przerabia rocznie około 2 milionów ton radzieckiej ropy naftowej.

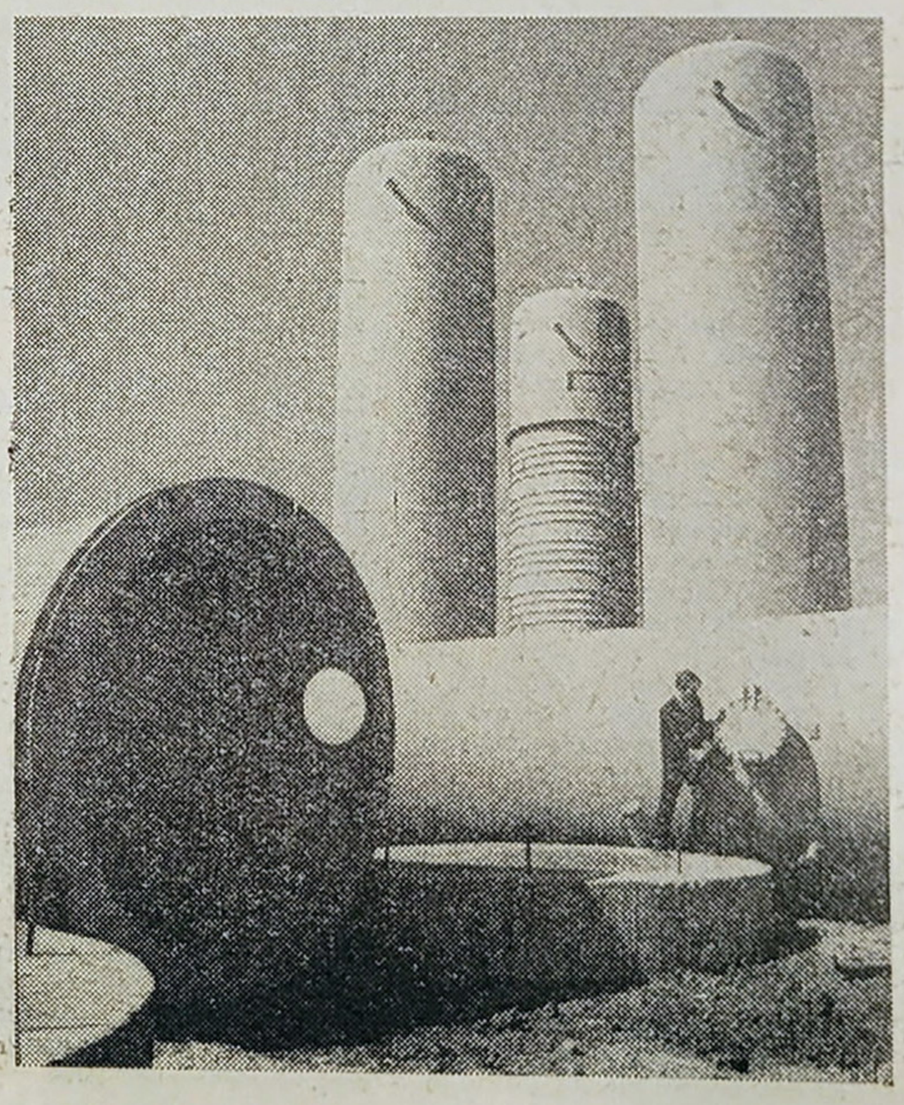

● **Stali wytapiali Węgrzy w 1950 roku 1 048 000 ton, obecnie 2 903 000 ton, a więc niemal trzykrotnie więcej.**

● **W 1950 roku wybudowano 32 416 mieszkań, obecnie w ciągu roku oddaje się ponad 63 tys. nowych mieszkań. W całym 25-leciu wybudowano ponad milion mieszkań.**

● **W ciągu 25-lecia powstały 23 nowe miasta.**

● **Produkcja rolna w porównaniu z 1950 rokiem wzrosła o ponad 40 procent.**

● **Ponad milion hektarów ziemi zmeliorowano, a 400 tys. sztucznie nawodniono, uniezależniając się od kaprysów pogody.**

● **Do wojny było na Węgrzech 16 wyższych uczelni, obecnie jest ich aż 89, w tym 31 uniwersytetów i instytutów.**

● **W 1950 roku na 10 tys. mieszkańców przypadało 11 lekarzy, dziś — 21. Tak dużą ilością lekarzy może się pochwalić tylko kilka państw na świecie.**

— Ja postąpiłem odwrotnie niż wszyscy. Nie cierpiałem pracy w przemyśle. Lubiłem wieś, pola... żebyś ty wiedział, jak pachną latem winnice, sady owocowe?

Istvan przerwał opowieść. Wiem, że w tej chwili myślami był daleko stąd, w swojej rodzinnej wiosce.

— Powiedziałeś, że postąpiłeś inaczej niż twoi koledzy — przerwałem zadumę.

— Tak było, poszedłem do szkoły rolniczej i skończyłem specjalizację mechanika maszyn rolniczych. Ale życie obeszło się ze mną nieżyczliwie. Trzy razy zmieniałem miejsce pracy w różnych spółdzielniach produkcyjnych i nigdzie nie mogłem znaleźć odpowiedniego zajęcia. Przed laty spółdzielnie produkcyjne nie posiadały jeszcze dostatecznej ilości maszyn, niepotrzebni więc byli mechanicy.

— A więc okrężną drogą, znowu trafiłeś do nafty?

— Tak się złożyło. Siedziałem akurat w swojej rodzinnej wsi bez pracy. Któregoś dnia, w maju 1962 roku, zjawili się we wsi agitatorzy werbujący ludzi do pracy w Szaszholumbotto. „Budujemy tam nowoczesny kombinat petrochemiczny, który będzie przerabiał ropę naftową płynącą rurociągiem ze Związku Radzieckiego" — wyjaśniali. — Nie wiem dlaczego, ale zgodziłem się bez wahania. I tak oto dziwnym trafem robię dziś to, na co przed laty nie miałem ochoty — śmieje się.

— Czy żałujesz tego nowego wyboru?

— Nie żałuję i aż sam się dziwię, że kiedyś tak się broniłem przed pracą w „nafcie".

100 kurchanów przy wodopoju

KIEDY PRZYJECHAŁEM tu przed ośmiu laty, byłem rozczarowany — wspomina Istvan. — Dookoła puste pola. Nawet przy dużej wyobraźni trudno było uwierzyć, że stanie tu kiedyś kombinat. Tym razem nie stchórzyłem. Przez kilka miesięcy ryłem w ziemi łopatą. Diabli mnie brali na tę „głupią" robotę, ale wtedy — innej, „mądrzejszej" nie było.

Któregoś dnia natrafiliśmy w ziemi na jakieś stare garnki, naczynia gliniane, kości... Zawiadomiliśmy o znalezisku inżyniera, ten z kolei nauczyciela w miejscowej szkole, pana Józefa. Okazało się, że odkryliśmy ciekawe eksponaty sprzed kilkunastu wieków. Dziś te nasze wykopaliska znajdują się w miejscowym muzeum. A pan Józef, który jest zapalonym historykiem, otrzymał ważkie argumenty do swojej teorii o przeszłości wsi Szaszholumbotto.

Pan Józef twierdzi m.in., że nazwa wsi, a właściwie jej pierwsza część — Szaszholum — pochodzi aż z VIII wieku. W tym czasie, w dolinie Tárnuok miała miejsce wielka bitwa, w której zginęło wielu wojowników. Poległych pochowano w 100 mogiłach, nad którymi usypano kurchany. Właśnie słowo „Szaszholum" oznacza 100 mogił-kurchanów.

W okresie tureckiego panowania nazwa miejscowości wzbogaciła się o dalszą część: „botto", co po turecku znaczy wodopój. Podobno stacjonujące niedaleko stąd, w Erd, oddziały tureckie przyprowadzały do Szaszholum swoje konie do wodopoju. I tak z czasem do starej nazwy przylgnęła turecka końcówka i powstało Szaszholumbotto.

— Czy rzeczywiście nazwa wsi taki posiada rodowód — nie wiem. Ale nawet gdyby tak było, sława Szaszholumbotto nie wykroczyłaby poza granice wsi. Prawdziwą sławę wieś osiągnęła dzięki nam, budowniczym kombinatu. Dziś o Szaszholumbotto wiedzą nie tylko wszyscy Węgrzy, znana jest ona także w naszym Płocku i w niemieckim Schwedt, wszędzie tam, gdzie pracują nafciarze wielkiego rurociągu „Przyjaźń".

Befsztyki z nafty

ISTVAN jest dziś cenionym pracownikiem kombinatu. Nowy zawód „nafciarza" zdobył w czasie trwania budowy rafinerii. Ale na tym nie poprzestał, obecnie uczy się w technikum chemicznym, przygotowującym wysoko wyspecjalizowanych fachowców przemysłu petrochemicznego. Istvan uczy się zaocznie, nie przerywając codziennej pracy. Marzy o zdobyciu tytułu inżyniera.

— Muszę tego dokonać, choćbym nie wiem jak długo musiał się uczyć — zwierzył mi się Istvan ze swych planów. — Chemia dnia jutrzejszego będzie wymagała ludzi niemal wyłącznie z wyższym wykształceniem.

— A mnie się wydaje, że wasz kombinat już dziś jest symbolem fabryki-laboratorium, fabryki nowoczesnej. Przecież procesem produkcji steruje się zdalnie, automatycznie, prawie bez udziału człowieka.

— Racja! Ale to dopiero początek rozwoju chemii. Zobaczysz, co przyniesie jutro. My, chemicy, twierdzimy, że chemia zmieni świat, że po obecnej epoce żelaza, nastąpi epoka mas plastycznych i tworzyw sztucznych. Powiem ci więcej — o ile już dziś chemia „ubiera" ludzi, to w przyszłości będzie ich również żywić.

— Nie powiesz mi, że z nafty będziecie robić befsztyki — roześmiałem się.

— A właśnie, że tak będzie — mówi poważnie Istvan. — Próby w skali laboratoryjnej prowadzi się już od kilku lat. I to z obiecującymi wynikami.

— Może i będzie tak, jak mówisz, ale mimo wielkiego zaufania do nauki, osobiście wolałbym jednak do końca życia jeść prawdziwe kotlety cielęce.

— Prawdę mówiąc, ja również — śmieje się Steffan, bo węgierski Istvan to po prostu polski Stefan.

ST. BOROWIECKI

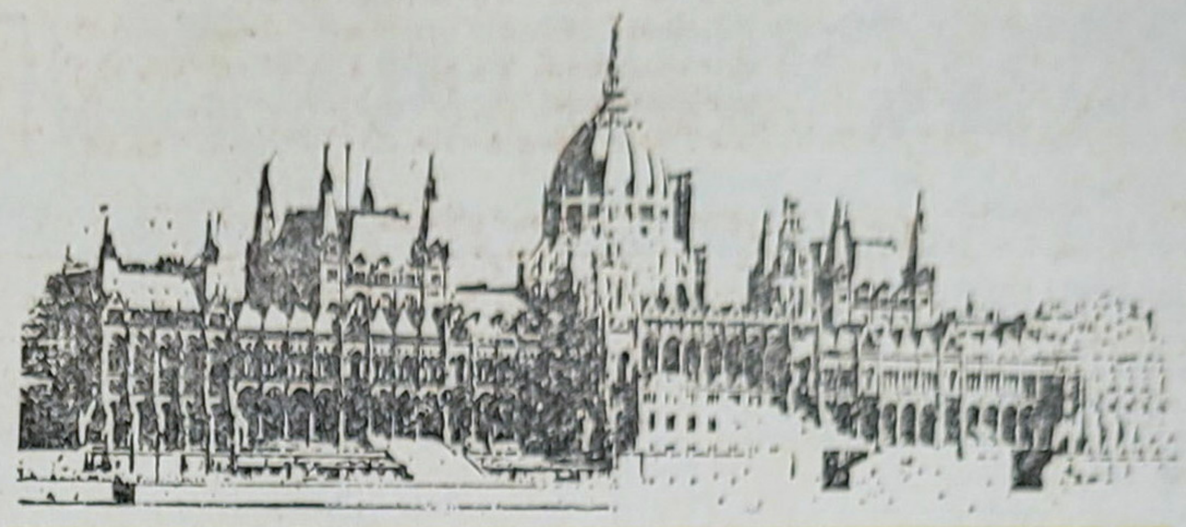

BUDAPESZT 25 lat temu i dziś

Tak wyglądały ulice Budapesztu w czasie wyzwalania miasta.

U góry: wspaniały neogotycki gmach Parlamentu — piękna wizytówka Budapesztu. Gmach ten posiada 100 pomieszczeń, 30 klatek schodowych, a bogate malowidła ścienne jego wnętrz zdobi 40 kg złota.

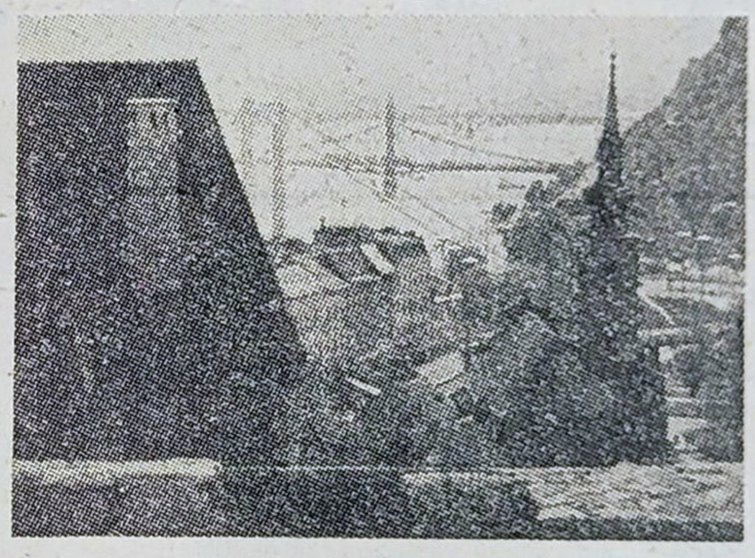

Widok na wieże i dachy Budy, w głębi mosty na Dunaju.

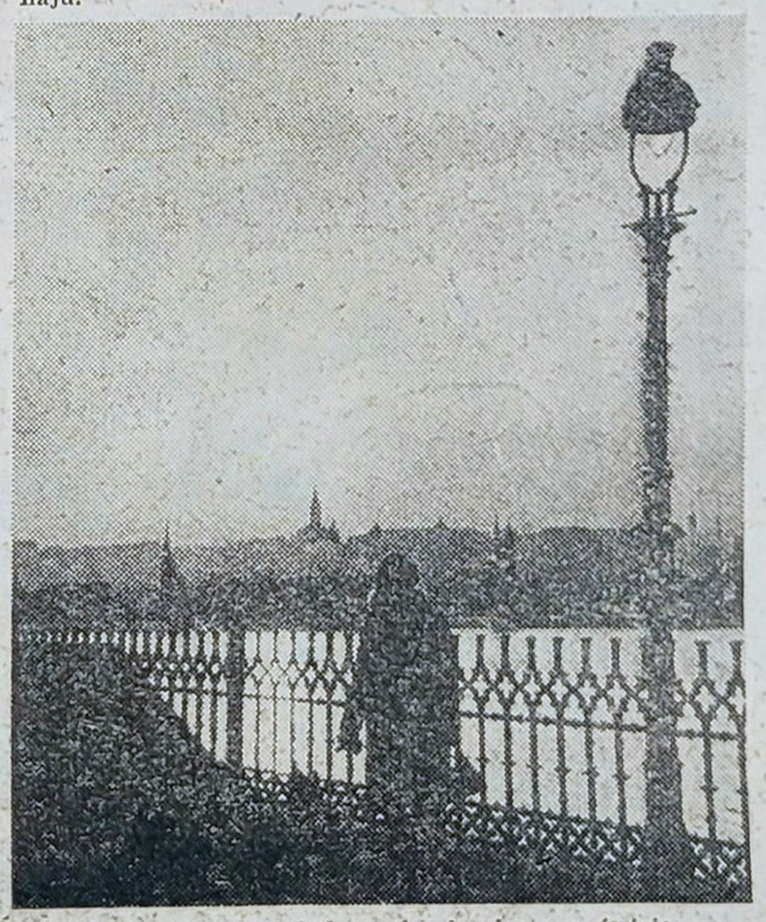

Malowniczo wygląda rzeka i miasto o świcie.

BUDAPESZT — miasto o niepowtarzalnym uroku. Położone po obydwu stronach Dunaju składa się jakby z dwóch różnych części. Na prawym, górzystym brzegu — zabytkowa stara Buda, a na lewym — równinny Peszt. Różnice w charakterze tych części mają swoje historyczne uzasadnienie. Do roku 1873 były to dwa oddzielne miasta.

Pozornie więc historia Budapesztu liczy zaledwie 100 lat. W rzeczywistości dzieje miasta sięgają początku naszej ery. Już bowiem w 10 roku n.e. na terenie dzisiejszej Obudy (Starej Budy), wznosiła się stolica jednej z prowincji Cesarstwa Rzymskiego — Pannonii, Aquinicum. Aquinicum liczyło wówczas 30 tys. mieszkańców. Z tych odległych czasów zachowały się do dziś tylko nieliczne pamiątki.

Niezwykle szybki rozwój Budapesztu przypada na przełom XIX i XX wieku. Jednak zarówno pierwsza jak i szczególnie druga wojna światowa nie oszczędziły miasta. Cofające się wojska niemieckie wysadziły w powietrze wszystkie mosty na Dunaju. Okrążeni na prawym brzegu rzeki, na wzgórzach Budy, hitlerowcy bronili się zaciekle. Wojska radzieckie nie użyły podczas walk o Budapeszt ciężkiej artylerii. Mimo to pastwą płomieni i niemieckich ładunków wybuchowych padły wówczas 33 tysiące domów. W gruzach legły liczne budynki o wartości zabytkowej i historycznej, zniszczony został transport miejski, wodociągi, elektrownie. Jednak dzięki ogromnemu wysiłkowi całego narodu miasto wróciło do życia.

Na 25 rocznicę wyzwolenia budapeszteńczycy otrzymają nową linię metra. Dzisiaj Budapeszt jest jeszcze piękniejszy niż dawniej. Ponad 2-milionowa metropolia posiada 30 muzeów, 19 teatrów, 102 kina. Co piąty Węgier mieszka w stolicy.

Harpunnik z »DELFINA«

Napisał JURIJ LEUSZEW 2.

Tłum. A. Błaiejewski

Durandin, odbywa już trzecią wyprawę na Antarktydę jako pomocnik harpunnika.

TRZECI TYDZIEŃ MILCZAŁY WYRZUTNIE. Wysypka żrącej rdzy pokryła brzeżki harpunów ułożonych w stosach. We dnie i po nocach, jasnych podbiegunowych nocach, trajkoczą nad oceanem helikoptery. Na setki mil od wielorybniczej bazy rozbiegły się w różnych kierunkach wywiadowcze statki. Wypatrują, czy nie ukażą się wśród fal charakterystyczne pióropusze-fontanny.

Radiotelegrafiści wystukiwali do bazy komunikaty: „W ciągu doby przepłyneliśmy dwieście mil. Wielorybów nie zauważyliśmy". Z próżniaczego życia załogę „Delfina" ogarnęła apatia. Ale Gribow dostrzegł na mapie niewielką mieliznę. Wielorybnik przepływał koło niej zupełnie blisko. Gribow ucieszył się. Wiedział, że na płyciznach zwykle gnieżdżą się kallmary. Prąd wyrzuca z głębiny drobne rybki. Wskutek zmiany ciśnienia tracą one zmysły, jak w kesonowej chorobie. Kallmar na to tylko czeka i... łabas! A gdzie żeruj kallmary, tam szukaj kaszalota. Najsmaczniejszy to przysmak dla niego. Przeczucie nie zawiodło Gribowa. Zaledwie statek zbliżył się do płycizny — marynarz krzyczy z „bocianiego gniazda":

Z lewej dwie świece!

Pierwszego kaszalota Gribow rąbnął od razu. Zabitego drapieżnika przymocowano grubymi łańcuchami do burty. A drugi przestraszony wystrzałem całą noc harpunnika wodził za nos.

— Zostaw go — krzyczeli chórem dyżurujący na mostku obserwatorzy. — Przez radio nadali, że „Wilk" wpadł na stado finwalów. Trzeba by szybciej do niego, bo zostaniemy na lodzie.

— Dobrze — odrzekł harpunnik ostatni zajazd!

— Wypływa! Z prawej, tuż przy dziobie wypływa! — krzyknął naraz obserwator.

Harpunnik wytężył wzrok i ujrzał w głębokości jakichś dwudziestu metrów, a raczej wyczuł, wyłaniającą się ciemną plamę. Szybko nakierował lufę. Grzebiet wieloryba mignął w szczelinie celownika, palec nacisnął spust. I w tejże chwili dziko zawył Gribow

— Sztormowa fala!

W zapale ścigania nikt nie zauważył, jak olbrzymia ściana wody wtoczyła się na statek. Statek drgnął od potężnego uderzenia. Wymierzywszy mu głośny policzek, fala stanęła dęba i całym ciężarem opadła na czoło pomostu. Stłoczeni na mostku marynarze nie słyszeli strzału. Nie widzieli, jak harpun, przeszywszy wodną zasłonę ugodził wieloryba... Lodowata fala zwaliła Gribowa z nóg i z impetem rzuciła go na wzniesienie kołowrotu. Skierowano go do szpitala w bazie wielorybniczej z ciężkimi obrażeniami i złamaną kością biodrową. „Delfin" został bez harpunnika. Kołysał się teraz w pobliżu bazy na spokojnej wodzie. Nie ma nic gorszego dla wielorybników, jak przymusowa bezczynność. Polowanie na wieloryby, ciężki, wyczerpujący trud, lecz bez tej całkowicie pochłaniającej pracy człowiek na Arktyce nie przezwycięży ani długiego rozstania z najbliższymi, ani dokuczliwego mlaskania fal...

— Zdegradują nas na holowników — wzdychał Kwasow — ktoś będzie polował wieloryby, a my nic, tylko będziemy targali na bazę cudzą zdobycz.

Dotychczas brak harpunnika każdy przeżywał milcząco. Teraz wszyscy zagadali, przerywając sobie nawzajem.

— Rozpędziliśmy się za kaszalotem, a straciliśmy harpunnika.

W drzwiach nadbudówki ukazał się szturman.

— Dość tej paplaniny! — krzyknął donośnie. — Durandina wzywają na bazę, do kapitana-dyrektora.

Stukała dźwigarka, wciągając po pochyłym ślizgu tusze wielorybów na rozdzielcze pomosty. Jak karabinowe salwy trzaskały zdzierane z cielsk warstwy tłuszczu. Wyły mechaniczne piły. Dzwoniła stal, ocierając się o szmerglowe osełki. Rębacze w ceratowych kombinezonach ostrzyli noże, zakrzywione jak hokejowe drążki... W obszernym korytarzu pokrytym metalową siatką, aby uchronić pokład od ostrych kolców, przycumowanych do podeszew rębaczy, wartownik podprowadził Aleksego do trapu, zastanego czerwonym chodnikiem.

— Na górę! Do samego końca — wskazał ręką — ujrzysz na drzwiach tabliczkę „obcym wstęp wzbroniony", nie pesz się. Wal prosto...

Im wyżej po schodach wchodził Aleksy, tym większy ogarniał go niepokój. Po co wzywał go dyrektor? Zwierzchnicy zazwyczaj nie wzywają, gdy chcą kogoś pochwalić. Zresztą, za co miałby go chwalić. W takim razie co zawinił? Uprzytomnił sobie wydarzenia najbliższych dni. A może chodzi o jakieś zeznania w związku z wypadkiem Gribowa? Ale jakie mogą być zeznania? Wszystko i tak wiadomo. Wreszcie Durandin znalazł się przed ciemnymi, gładko wypolerowanymi drzwiami... Zapukał i wszedł.

Obszerna kajuta była zastawiona mnóstwem radiodbiorników. Przy stole w pobliżu głośnika siedział zastępca dyrektora, Tatarnikow i coś uważnie notował w grubej księdze. Obok — kapitan-dyrektor Gołowin. Durandin nie poznał go od razu. Widywał go kiedyś z daleka w prezydium na uroczystych zebraniach, urządzanych w teatrze miejskim z okazji powrotu flotylli.

Rys. M. Majewski

Obecnie, oglądając twarz Gołowina pokrytą głębokimi bruzdami, Aleksy mimo woli pomyślał: „Nie ma słodkiego życia staruszek, za wszystko odpowiada".

Dyrektor wskazał Durandinowi szeroką, obciągniętą skórą otomanę. Stojący za Gołowinem sekretarz partyjnego komitetu Trubow uważnie spojrzał na pomocnika harpunnika i przywitał go kiwnięciem głowy... Aleksy usiadł. Sądząc po uwadze, z jaką dyrektor, zastępca i sekretarz słuchali płynących z odbiornika słów, zrozumiał, że chodziło o jakiś „większy ołowek". Kapitanowie wielorybników po kolei meldowali, gdzie znajduje się ich statek, jak odbywa się polowanie. Także krótkie narady odbywały się co godzina. Stale informowano kierownictwo przedsiębiorstwa o przebiegu pracy. Durandin poznawał wartką mowę kapitana z „Wilka":

— Po małpie do mamy, kołek na kole — recytował kapitan — na czyste lody. Dwa Fedory na fladze, pęczimy psa na trzech nogach.

— Zrozumiałem — pochylił się nad głośnikiem Tatarnikow — zuchy. Słucham następnego.

Obcemu wydałoby się to bardzo dziwne: poważni ludzie wsłuchują się w taki galimatias. Ale Aleksy wiedział, że ta abrakadabra chroniła naszą „Sławę", niegdyś jedyną wielorybniczą flotyllę, przed obcymi wielorybnikami, którzy śledzili każdy jej ruch... Ten żargon już od dawna stracił swoje pierwotne znaczenie, lecz pozostał w mowie zawodowców. Durandin świetnie rozumiał kapitana: „Wielorybnik znajduje się o dziesięć mil od bazy. Odległość ustalona według radiolokatora. W ciągu godziny zabito dwa finwale. Obecnie wielorybnik o trzech silnikach ściga sejwala".

Gołowin zwrócił się do Aleksego:

— Aleksy Pawłowiczu...

Durandin uniósł się.

Siedźcie, siedźcie — powstrzymał go dyrektor. — Wezwaliśmy was w takiej oto sprawie: Rada Zakładowa zdecydowała zatrudnić was w charakterze harpunnika na statku „Delfin".

— Kapitan ocenił was bardzo pozytywnie — dodał Trubow.

— I wiecie, kto szczególnie nastawał na to? Teodor Sawiejewicz Gribow.

— Sądzę, że z waszej strony sprzeciwu nie będzie — uśmiechnął się Gołowin. — Rozkaz już gotowy. Pozostaje życzyć powodzenia.

Durandin nie odpowiadał. Spodziewał się wszystkiego: wymówki, przeniesienia na inny wielorybnik, a tu propozycja zostania harpunnikiem... Zatkało go z radości. Lecz po chwili strach go obleciał. Przecież harpunnik powinien dobrze strzelać.

— Nie — poruszył głową przeczącego — na harpunnika ja się nie nadaję.

— Dlaczego? — spytał Gołowin.

— Źle strzelam. A poza tym załoga rozpieszczona przez Gribowa. Jakże ja w porównaniu z nim będę wyglądał?

— Zrozumcie Aleksy Pawłowiczu — łagodnie perswadował dyrektor — nie mamy obecnie kogo posłać do was na „Delfina"...

I Aleksy uległ.

— Dobrze, spróbuję.

C.d.n.

TYTUS, ROMEK i ATOMEK

Rys. HENRYK CHMIELEWSKI

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportazu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 1389. K-69

Plutonowy Krzysztof Jankowski — funkcjonariusz Zmotoryzowanego Odwodu Milicji Obywatelskiej w Warszawie — za swój bohaterski czyn otrzymał medal „Za Męstwo i Odwagę" i stopień plutonowego.

Staś Polak z matką.

Bohaterowie są wśród nas

ŁOWCO PRZYGÓD opamiętaj się

KIEDY wchodzimy z plutonowym Krzysztofem Jankowskim na wał ochronny, Wisłę widać jak na dłoni. Rzeka w dwóch trzecich szerokości ścięta jest jeszcze lodem. Tylko tam, przy drugim brzegu rwie ostry nurt, oczyszczony przez lodołamacze. Po lodzie grubym, ale spękanym wałęsa się gromada wyrostków w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Na widok milicyjnego munduru robią w tył zwrot i wieją. Zdają sobie dobrze sprawę z tego, że kry to nie miejsce na zabawy.

— Kandydaci na topielców — mówi plutonowy. — Puszukiwacze przygód... A przecież nie można kordonem milicyjnym obstawić wszystkich rzek, jezior i stawów...

Zbliżamy się do nowego mostu Gdańskiego.

— To było tutaj — plutonowy wskazuje miejsce między drugim a trzecim przęsłem.

Właśnie stąd widać miejsce, gdzie jesienią bezmyślna przygoda omal nie pozbawiła życia Staszka Polaka.

Dziecko tonie

JEST chłodny jesienny wieczór. Tramwaj ze zgrzytem wjeżdża na most. Hamuje na pierwszym przystanku. Otwierają się automatycznie drzwi. Podbiega do nich jakiś mężczyzna i krzyczy: — Dziecko tonie!

Milicjant stojący dotąd spokojnie na pomoście wyskakuje błyskawicznie z tramwaju. Odpycha gapiów przy barierce. Nadsłuchuje. Rzeczywiście. Z dołu, gdzieś spod przęsła, niesie się słabe, ledwo słyszalne wołanie o pomoc.

Milicjant biegnie mostem do brzegu. Po drodze ściąga mundur. Zrzuca koszulę. Na brzegu zostawia spodnie i buty.

Na wodzie kładą się złote smugi świateł latarni. Ale tam, skąd dobiega krzyk — jest zupełnie ciemno.

Dopłynąć się tam jednak nie da. Po zniszczonym w czasie wojny starym moście w rzece zostały całe bryły betonu. Z tych brył sterczą żelazne pręty. Woda rwie tu jak szalona, rozbijając się o przęsła.

Ostrożnie. Z jednej bryły na drugą. Coraz dalej od brzegu. Coraz głębiej. Aby się nie ześliznąć i nie wpaść, bo wtedy wirujący żywioł porwie, skotłuje i wyrzuci gdzieś przy tamach pod Żeraniem.

Jeszcze dwadzieścia metrów, dziesięć, pięć. Teraz już widać czerniejącą sylwetkę. Chłopiec zanurzony w wodzie, trzyma się kurczowo żelaznego pręta.

Obok, wplątana w sterczące żelastwo, bokiem do fali łódka-pychówka.

Niestety, tą samą drogą razem z chłopcem, który nie daje się ruszyć z miejsca, wrócić nie można. Tkwią więc obaj w zimnej wodzie, czekając na milicyjną łódź. Chłopiec, widząc obok siebie dorosłego, już nie krzyczy.

Mija może pół godziny, może czterdzieści minut. Wreszcie podpływa motorówka. Zabiera najpierw chłopaka. Odwozi do brzegu, gdzie czekają milicyjne radiowozy. Potem wraca po milicjanta...

Wyszedł... po tarczę

SKĄD się wziął ten 10-letni chłopiec wieczorem w najbardziej niebezpiecznym miejscu na rzece, obok łódki? — zadałam sobie pytanie... Żeby je wyjaśnić, pojechałam do Błonia, gdzie mieszkają państwo Polakowie.

Wyszedł ze szkoły po uczniowską tarczę, taką zwykłą, na rękaw. Zamiast do domu — poszedł na stację, wsiadł w elektryczny pociąg i na gapę pojechał do Warszawy. Tam trafił nad Wisłę. Na praskim brzegu stała na kotwiczce łódka-pychówka.

— Po co w nią wsiadał?

Matce powiedział potem, że chciał się przeprawić na drugi brzeg, żeby się dostać do cioci, która mieszka na Nowym Świecie. Kolegom, — że chciał wyruszyć w świat...

Wielki świat skończył się pod Gdańskim mostem. Skończył się szczęśliwie — dzięki pomocy milicji. Niewiele brakowało, a wszystkie wymarzone wielkie przygody skończyłyby się tragicznie.

Każdego roku woda pochłania setki ofiar...

W latach 1960—1969 utonęło w naszym kraju 11.357 osób...

Jest nad czym pomyśleć...

Tekst i foto
WIESŁAWA MROCZEK

SZANOWNA REDAKCJO!

Chciałam na ręce Redakcji w imieniu całej naszej rodziny złożyć gorące podziękowanie milicjantowi, który w jesieni ubiegłego roku uratował życie memu synowi...

Staś wsiadł do łódki i popłynął Wisłą. Woda zniosła go pod most w Warszawie i tam łódka się przewróciła. Chłopiec przez długi czas wzywał pomocy. Na moście i na brzegu stali ludzie i patrzyli.

Z pomocą pośpieszył tylko milicjant. Nie znam jego nazwiska. Nie wiem, gdzie pracuje. Może Redakcja go odnajdzie, bo my nie mieszkamy w Warszawie.

Dziękuję gorąco, jak tylko może dziękować matka...

Mirosława Polak
Błonie k/Warszawy

Kiedy wchodzimy na wał ochronny, z popękanego na Wiśle lodu ucieka gromada chłopaków. W roku 1969 utonęły w Polsce 1044 osoby. Z tego 309 — to dzieci do lat czternastu.

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

BILETY WIZYTOWE

Z jakich miejscowości przyjechali ci panowie?

W każdym bilecie wizytowym należy tak poprzestawiać litery, aby powstały nazwy miejscowości w Polsce.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane bony książkowe po 20 złotych.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

ROZWIĄZANIE ROZETKI Z NUMERU 20

Prawoskośnie: kapa, para, masa, tona, rufa, Kuba, lada, Łada, Wola, weto, cena, mika.
Lewoskośnie: kino, paka, mapa, tara, rosa, kuna, lufa, Łaba, wada, woda, cela, meta.

Bony książkowe po 20 zł wylosowali: **Zbigniew Chrabąszcz** — Sierosławice 10; **Zbigniew Burcan** — Kosobudy; **Maria Drapała** — Sarbinowo; **Jan Gołębski** — Łagisza; **Barbara Gnich** — Stanisławów; **Jerzy Jezierski** — Kadłub 4; **Grażyna Kłosowicz** — Warszawa 12; **Zofia Szałańska** — Jędrzejówka 25; **Adam Swiderski** — Jawor; **Anna Wilk** — Sosnowiec.

DLA KOLEKTYWÓW I DLA JEDNOSTEK MAMY NIEWĄSKI WÓR CIEKAWOSTEK czyli: WYJAŚNIENIE CIEKAWE SZALENIE!

SZANOWNE PANIE ORAZ PANOWIE!

Każdy, kto idzie praojców śladem, zawsze Wam powie, że śmiech to zdrowie, że wiosna też ma swą maskaradę.

Więc wyjaśniamy tym, co są z miasta, i tym, co na wsi nie tracą głowy: Nasza świąteczna strona szesnasta — to żart był primaaprilisowy.

Karta QSL. Oto hasło: **Regulujemy dokładnie zegarki.**